Lwów 24. Lipca. Nr 87. Rok 1855.

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. 3 Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Zł. **20** kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr.. za na stęp- po **1**½ kr. i zadopłatę 10 kr. stepl. zakażdorazowe umieszczenie. Bioro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

XII.

OŚWIADCZENIE.

(Ciąg dalszy.)

Poeta uczuł nagle ból w sercu, bo dotąd nieprzypuszczał, aby jego zewnętrzna strona mogła być kiedy śmieszną, lub ma być przeszkodą tam, gdzie samo uczucie włada, gdzie serce tylko wyrokuje, a myśl lotna jak błyskawica po eterach ulata! On był duchem i sercem, i chciał niemi żyć nie zależnie od form towarzyskich, któremi pogardzał jako próżnością, a gdy się dzisiaj nad tem zastanowił, spostrzegł że i w marzeniach swoich lgnął do tego, co ładne, że wszystkie swoje ideały oblekał w ładne i zgrabne ciała, że i Julja jego była piękną!

Porównał on siebie ze stojącą koło Julii młodzieżą, i zdawało mu się że swoją postacią popsułby całą udatność obrazu, całą harmonją, on poznał po raz pierwszy, że obok Julii nie byłby na swojem miejscu. Jego maniery nie odpowiadały wcale manierom Julii, a gdyby nawet chciał się do powierzchowności Julii zastosować, niemiałby nigdy na to zmysłu ni gustu.

Nawet Julia wydawała mu się jakoś inaczej. Niebyła to jego poważnie siedząca uczennica, słuchająca długiej jego rozprawy o *Kadłubkach* lub o mistycznym *Mateuszu Cholewie*, niebyła to owa Julia, z tęskną, uczuciową źrenicą z ową lekką melancholią na twarzy, słuchająca trenów Kochanowskiego na śmierć Urszulki; ale była wesołą i roztrzepaną, w całem znaczeniu tego słowa salonową dziewczyną, rzucającą na wszystkie strony dowcipy, składne ukłony, a nawet zdawało się poecie z poddasza, zalotne spojrzenia. Pan Artur w krótkiej kurtce zbliżał się do niej coraz więcej, Julia go coraz więcej wyszczególniała, chętnie z nim bawiła, a nawet o coś żartobliwie się powadziła, i przeprosić dała, wreszcie zezwoliła na to, że pan Artur kazał przyprowadzić trzy rumaki, jednego z dampskiem siodłem. Na jednego siadła Julia, na drugiego bogato ubrany służący, a trzeciego prawdziwego araba, dosiadł w locie pan Artur i obok Julii drogą w las poczwałowali...

Wszystko to widział biedny poeta z poddasza. Serce mało nie pękło z bolu. Widział on że wszystkie jego poszyty, wszystkie te stosy manuskryptów, cała jego mozolna praca i tą pracą zdobyta nauka, niemogą mu nadać takiego uroku w społeczeństwie, jaki nadają bogactwo i ogłada.

Rzucił się na siennik i zapłakał gorzko, a teraz dopiero przyszło mu do głowy, że prawie wszyscy owi wielcy ludzie z nauk i talentów nieodnieśli zapłaty swojej za życia, bo sława ich dopiero za grobem uwieńczyła!.. Dla nich było życie drogą ciernistą, a cała ich wielkość prawie na tem zawisła, że na tej ciernistej drodze wytrwali! Dziwił się biedny, że jakoś inaczej świat mu się dzisiaj wydawał, a nawet niebył tak brzydkim jak to sobie w samotnej swojej izdebce wystawiał! Gdyby nasz uczony częściej był z poddasza swego życia na ten świat spoglądał, gdyby niebył tak uporczywie od niego twarz odwracał, możeby dzisiaj też świat niebył dla niego tak srogi, tak nie dostępny!..

Po chwili uspokoił się; burza serca przeminęła, a w nim pozostała tylko cierń nieuleczonej boleści. W takiem to prawdziwie poetyckiem uczuciu wziął ołówek i nakreślił kilka wierszy.

Zrazu chciał on na tem swojem poddaszu zostać zupełnie *incognito*, ale widząc, że osoby podobne jemu wcale nikogo niezajmują, poważył się zleźć na dół, a nawet gdzieś na uboczu kilkanaście kroków zrobić. Nikt go nie znał, nikt do niego nieprzemówił. Odwaga jego rosła z każdą godziną. Powoli oswoił się przyjść i do sadzawki, uważając jednak pilnie, aby go Julia nie ujrzała. Ale Julia śmiała się i bawiła tak wybornie, że biedny poeta mógł śmiało przechodzić pomiędzy towarzystwo niebędąc od niej widzianym. A nawet zdarzyło się raz że Julia nagle z jakiejś bocznej uliczki na zastraszonego poetę wypadła, ale była tak roztargnioną, że mógł bespiecznie do sieni czmychnąć i tam się ukryć. W końcu sprzykrzyła mu się i ta rola, a bądź co bądź, Robert postanowił z Julią się widzieć. Niechciał jednak sam pójść do niej, bo od chwili, gdy się z poddasza ze światem po raz pierwszy porównał, stał się jakoś lękliwy, i sam siebie wstydzić się począł. Wydawało mu się nawet nieprzyzwoitością, stanąć poufale obok Julii, a cóż dopiero karmić takie marzenia!.. Szukał więc sposobności jakiej, ale sposobność na nieszczęście od niego uciekała. Wreszcie zdawało mu się, że Julia sama go unika, że niechce do niego przemówić, że niechce się przyznać

do jego znajomości. Znowu wylał biedny poeta kilka łez na tę myśl gorzką, znowu napisał kilka wierszy. I tak upłynęło dni cztery.

Na piąty dzień ze świtem wstał Robert, a przeszedłszy się kilka razy po ulicy, siadł na ławce pod oknem małego saloniku, gdzie był fortepian i gdzie się zazwyczaj dobrańsze zbierało towarzystwo. Zaledwie kilka chwil tam siedział, ujrzał schodzącą ze schodów Julią i idącą wprost do tego salonu. Drzwi wchodowe niebyły z tej strony, gdzie siedział Robert, Julia więc nie mogła go widzieć.

Po małej chwili obaczył znowu Robert pana Artura który mu jakoś dzisiaj wytworniej zdawał się być ubranym, chociaż właściwie był tylko w rannym negliżu. Pan Artur zwrócił się także do saloniku.

W całej Artura postaci widział Robert dzisiaj coś niezwykłego, niebyło w niej tyle swobody, co dawniej, gdy się na nią patrzał z poddasza. A musiało coś zajść bardzo ważnego, jeźli urodzonego salonowca ta swoboda dzisiaj opuściła! Tak sobie rozumował Robert. Zestawiwszy jeszcze do tego: że Julia dzisiaj zbyt rano, i to bez żadnego towarzystwa do saloniku się udała, że zaraz za nią wszedł tamże pan Artur, nieodstępny jej towarzysz, że sam chód jego był dzisiaj jakoś dziwaczny i wyjątkowy, uczynił z tego najsprawiedliwszy wniosek, że między Julią a Arturem jakiś stosunek zachodzi, a to ranne zejście jest najpospolitszem „*rendez-vous*".

Rozczarowany już w części poeta uczuł jednak ból w sercu, który mu przypomniał, że zakorzenione tamże uczucie nie wymarło, że się zrosło z tętnem jego życia.

W pierwszym bolu zerwał się na nogi i chciał się pomścić pogardą; ale nogi zachwiały się pod nim, wkoło niego pociemniało, i musiał znowu usiąść, aby był świadkiem zwierzenia się dwojga kochanków.

Tuż koło niego było okno otwarte, a każde słowo, wymówione w salonie szło prosto w ucho biednego poety. Ono szło dalej niżeli w ucho, bo padło jak ołów roztopiony na dno jego serca!

Najprzód słyszał, że Julia kilka razy po salonie się przeszła, jakto zwykli czynić ludzie, miotani gwałtownem uczuciem. Widać, że niecierpliwość jej jeszcze się wyżej wzmogła, bo westchnąwszy głęboko, siadła do fortepianu i uderzyła w klawisze. Siedzący pod oknem poeta dostrzegł że w akordach tych niebyło już tej cichej, płynącej harmonii, owej muzyki aniołów w niebie, co duszę od ciała odrywa i ku niebu wznosi, ale były to rozpasane tony gorącej jakiejś namiętności, jakieś gwałtowne, demoniczne wezwania do roskoszy ziemskich, które duszy z nieba strącają a do ziemi przykuwają... Niebyła to już muzyka Julii, jego wymarzonej kochanki, ale muzyka kobiety—kokietki, która nęci i wyzywa...

Znowu poetę zabolało serce.

Wreszcie przyszedł Artur i wytwornym francuskim akcentem powiedział Julii: dzień dobry. Julia przestała grać, i odpowiedziała na przywitanie. Był to jej głos, dobrze znany poecie, ale dźwięk tego głosu niebyłto owym miłym, łagodnie przenikającym dźwiękiem wołającego do modlitwy dzwonka, ale był to dźwięk, co bije na trwogę, co wywołuje do namiętności walki...

Ach, jakże się wszystko na ziemi zmienia!

Terazto miał Robert sposobność o wszystkiem się dowiedzieć.

— Masz więc pan dowód mego wielkiego zaufania, rzekła Julia, jeźli pana tutaj i o tej porze widzę.

—Jakibądź skutek moje nadzieje wezmą, pani, odpowiedział Artur, zawsze dzień ten, ta chwila, pozostanie mi wiecznie w pamięci, chociażby to miał być pierwszy i ostatni promień szczęścia.

Tutaj usłyszał Robert posunięcie cię krzesła i... pocałunek.

— Ach, rzekła po chwili Julia, jakżeś pan szczery! Już naprzód mówisz mi pan, że jeżeli nadzieje go zawiodą, to bynajmniej nie będziesz rozpaczał, rezerwując sobie tylko miłe wspomnienie! Cieszy mnie to, że pan jesteś tak oględnym, i że się tak łatwo na zawód swoich nadziei przygotowujesz. Będzie to panu może potrzebne.

— Jestem szczery i otwarty, dlatego niemyślę w obec pani odgrywać romansu lub komedii!

— To tem lepiej, możemy całą czterotomową książkę zamknąć w kilka słowa.

— Więc główny cel mojej prośby, abym z panią bez świadków mógł mówić, jest...

— Jest...

— Prosić panią o rękę.

— O rękę?... nie o serce?...

— I o serce.

— Więc prośba pana składa się z dwóch części. W jednej prosisz pan o rękę, a w drugiej o serce. A o majątek kiedy będziesz pan prosił? dopiero przed ślubem, nie prawdaż?

— Niechce mnie pani rozumieć. Ja proszę tylko panią tutaj, czy mogę się o nią, jak świat każe starać?

— A więc tutaj, w krótkich, zimnych słowach, bez *romansu* i *komedii*, jak sam pan mówiłeś, prosisz mnie pan o rękę i serce, aby potem dla świata, *jak świat każe*, odegrać *romans* i *komedją*, w istocie dla nas wcale niepotrzebne rzeczy! Będzie to koncesia dla zwyczajów światowych.

— Patrząc w świat trzeźwo, moja pani, przyznasz mi, że mam słuszność, jeżeli daleki od systematów świata uczuciowego, tak rzeczy biorę, jak one są w niezmiennej swojej istocie. Przeto redukuję każdy związek małżeński do pewnej umowy czyli traktatu, który tem korzystniejszy jest w przyszłości, im korzystniejsze były w początku jego warunki.

— Ach, cóżto za zbawienna trzeźwość umysłu! Nie zaniedbam z tego korzystać. Zaraz złożę panu próbkę mojej trzeźwości, a cieszyć powinieneś się pan z tak pojętnej uczennicy. Czy majątek pana zrujnowany?

— Bynajmniej; jak najlepszą prowadzę administracją, a mimo dosyć kosztownego życia, jakie prowadzę, kapitalizuję corocznie dwadzieścia tysięcy, jak to pani bankierskimi papierami dowieść mogę.

— Wierzę panu; ale powiedzże mnie pan teraz ze stanowiska swojej trzeźwości, na cóż pan przy tak znakomitej fortunie swojej chcesz się związać z osobą, której usposobienia wcale nie znasz, a o której to tylko możesz mieć wyobrażenie, że taki i taki posiada majątek!

— Dialog pani nieodstrasza mnie bynajmniej od mego przedsięwzięcia. Cieszy mnie owszem, że pani jesteś jeszcze w owem stadium marzeń dziecinnych, któremi karmią nas biedni poeci. Lecz to jest sen sztuczny, magnetyczny, a pani się wkrótce przebudzi, szczęśliwy będę jeżeli to przebudzenie sprawi moja osoba.

— Czekam więc tego przebudzenia!

— Przyznasz mi pani, że każdy związek małżeński powinien mieć dwie podstawy: jedną rzeczywistą, drugą uczuciową. Co do pierwszej, głównym jej warunkiem jest majątek i pozycja socjalna, a co do strony uczuciowej, powinna między chcącemi wejść w stan małżeński, być jakaś asocjacja uczuć i wyobrażeń, w które wyposaża nas stopień edukacji, jaką otrzymaliśmy. A więc dedukuję ztąd: Majątek mój jest znaczny i w dobrym stanie, pani majątek jest prawie memu równy; a co do strony uczuciowej tę łatwo zaspokoimy, przypuściwszy że oboje mamy równe stanowi naszemu odpowiednie wykształcenie. A jeżeli już majątek przez się wielką w społeczeństwie jest potęgą, to powiększenie jego w dwójnasób, tylko z korzyścią dla każdego z nas być może!

— To jest wszystko ładne i piękne, ale stosowniejby było o tem mówić w kantorze jakim, niżeli w chwili tyle upragnionego rendez-vous!

— W kantorach, pani, najtrzeźwiej rzeczy widzą!

— Toteż prawdziwie mówisz pan jak z kantoru!... Propozycja pana wychodzi niby na jakąś spółkę bankierską np. *„Hersz et Comp.”*, albo przynajmniej na asocjacją akcjonarjuszów. I w istocie, gdyby mnie chodziło o jakie wielkie przedsiębiorstwo, np. zaopatrzenie pustyni Sahary w wodociągi zimnej wody dla podróżujących Anglików, tobym niezawodnie pana propozycją przyjęła! Ale ja przestaję na skromnym użytku mego majątku.. Ale, ale zapomniałam się pana jeszcze zapytać, co za cel założył pan sobie tego zjednoczenia dwóch majątków?

— Aby tem więcej w społeczeństwie imponować.

— Jakiż zawód pracy wybrałeś pan sobie? Czemże właściwie pan jesteś?

— Zawód pracy?... Czem jestem?... Pani dzisiaj *sarkazmuje*, a to będzie dla mnie tem większą podnietą wytrwać przy mojem przedsięwzięciu. Czem większe zwycięstwo, tem większa sława!

— Czekam na odpowiedź!

— Mam majątek i tytuł, a w tem znajdziesz pani odpowiedź.

— Majątek i tytuł mój panie, nieuwalniają nikogo od uczciwej pracy, przeciwnie im większy jest ten majątek i tytuł, tem większe obowiązki wkładają na nas, bo praca nasza przy wpływie majątku i tytułu może się stać tem korzystniejszą dla społeczeństwa. Dlaczego nie wstąpiłeś pan do urzędu, kraj by widział w panu swego partyzanta a może i chlubę; albo dlaczego nie wybierze pan sobie jakiego zawodu studiów, które literaturę narodową mogłyby zbogacić, wszak u nas właśnie do takiego zawodu potrzeba majątku.

— Pani mówisz, jakbyś była przełożoną karbonariuszów!

— Nie panie, sam *trzeźwy* rozum mówi, jakto przykro być musi, mieć męża próżniaka, który niczem nie jest co do własnej swojej osoby. Za granicą wielkie majątki i tytuły są podstawą wielkich zasług, wysokiej służby krajowej i wysokiego stanowiska!... A może jesteś pan pierwszy swego imienia, a więc chcesz je złączyć z imieniem historycznem, aby przesądy światowe zaspokoić?

— Z pietnastego wieku wywodzę przodków.

— Ach ileżto obowiązków spoczywa na ich potomku! Cóżto za piękna pozycja być dziedzicem tylu cnót ojczystych!...

— Pani mówisz jak profesor na katedrze, a przecież cierpliwość moja niepowinna być bez nagrody! I jestem jej pewny. Pani się przebudzisz.

— Może być; ale zimna, i trzeźwa propozycja pana była dla mnie przedwczesną.

— Widzę.

— I cóż pan na to?

— Będę czekał przebudzenia pani.

— A gdyby podczas tego pańskiej elewie zachciało się jakiego *romansiku lub komedii uczuciowej?*

— Byłoby dla mnie oznaką, że pani się wnet przebudzi. *Il faut, que la jeunesse se passe.*

— Ach, jakżeś pan pobłażający!

— Należy to do przymiotów małżonka, dodał pan Artur z pewnym akcentem i uśmiechem, a zdaje się że ten przymiot posiadam w wysokim stopniu!...

— Korzystam zaraz z tego przymiotu, prosząc pana o przebaczenie za cierpki może dialog dzisiejszy. Wszak pan pobłażasz?... Nieprawdaż-...

— Ja nic dotąd niemam pani do pobłażania. Pani *podobało się* bawić dzisiaj w jakiś karbonaryzm, ja rolę tę biorę za żart.

— Soyons amis!

— Je le serais pour toujours!

. Tutaj słyszał Robert znowu posunięcie krzesełka i... pocałunek. Ale jakże innym wydawał mu się ten pocałunek od tego, jaki był na początku zasłyszał! Nawet głos Julii zmienił się w ciągu rozmowy, a w uszach poety brzmiał on już tą samą niewypowiedzianą harmonią, którą tylko jego serce zrozumieć mogło!

Pan Artur wyszedł z salonika z właściwą sobie fantazją, bez najmniejszej chmurki na czole, a zagadnięty przez jakiegoś podeszłego jegomościę, rozpoczął z nim szeroką rozprawę o skuteczności wody mineralnej, porównywając ją z wodami zagranicy. Mówił on z takiem zajęciem, z taką wszechstronną znajomością rzeczy, wyliczał najskrupulatniej cząstki bromu, jodu, siarki, nafty i żelaza, jakoby nad tę rozmowę wcale go nic innego nie zajmowało!

Któż był szczęśliwszy od Roberta? Prawie zmysłów niepostradał z nadmiaru szczęścia. Niewiedział co z sobą zrobić, ale już czuł w sobie odwagę widzenia Julii. Nigdy niezajaśniała ona mu w tak świetnych kolorach jak teraz! Byłto anioł z nieba, czysty i święty śród świata!

Wstał z ławki, a idąc mimo drzwi salonu zatrzymał się na progu.

Julia obaczyła go. (C. d. n.)

W OBCYM KRAJU.

Za zielonym.... tam za gajem
Stoi dziewczę nad ruczajem...
Ponad falą zwierciadlaną,
Chyli główkę zadumaną.

— Coś mi dzisiaj patrzysz blado?
Dzwoni fala od ruczaju,
— Coś mi w sercu twem nie rado?
Spiewa słowik jej od gaju.

— Dzisiaj przybył pan bogaty,
Płacze dziewczę do ruczaju.
Od mych kwiatków... od mej chaty
Do obcego bierze kraju.

Pustki patrzą z okien chaty,
Srebrna fala schnie w ruczaju,
Słowik umilkł, zwiędły kwiaty...
Dziewczę zmarło w obcym kraju.

B. B.

JAK SIĘ U NAS ŻENIĄ.

Obrazek spółczesny.

II.

W LUBIENIU.

(Ciąg dalszy.)

Po twarzy Julii poznał że Szpakowski stosownie do umowy nie zmarnował czasu, ale przeciwnie przygotował ją po części do tych niezgrabnych banialuków.

— Nikt od pana nie wymaga tłumaczenia, mniemam jednakże że możeby listem jakim należało było uwiadomić.

— Listownie! o mój Boże! czyliż nie pisałem! i jakie mnóstwo listów i do Ciebie Julio, i do matki twojej, lecz widać że wszystkie poprzepadały gdzieś na poczcie rossyjskiej. Pani wiesz *co to tam się dzieje.*

Jakkolwiek niezgrabne było to kłamstwo, przecież łatwiej niż inne trafiło do przekonania panny Julii, która jako prawdziwa Polka, uwierzyłaby w największego cudaka zdarzonego w Rossyi.

— Wróciwszy z zagranicy, ciągnął dalej pan Felix; a głos jego stawał się coraz czulszy, i zakrawał nawet na płacz; dowiedziałem się żeś zobojętniała pani, zapomniała o mnie. I ja chciałem zapomnieć, niestety nie mogłem!.. bo tu w piersi mojej pamięć twoja paliła bolem piekielnym. Za tobą przyjechałem do Lubienia, i zastałem...... okropna rzeczywistość... zapomnienie.... obojętność. Żałuj mnie pani, żałuj mnie Julio! ja jestem bardzo biedny.

Podczas gdy to mówił pan Felix, ciągle coś ręką manipulował, to do kieszeni sięgał, to znowu do oka przykładał, aż nareszcie gdy dokończył tej płaczliwej skargi, ręka jego przylgnęła do oczów.

Właśnie wychodzili z lasku. Pan Felix, nagle się odwrócił, wzniósł głowę w niebo, i jakby malarz jaki efektu chciwy, ustawił jak najkorzystniej swoją figurę, by ją oświeciły bladawe promienie księżyca. Oczy jego nieco przymknięte, czerwoną otoczone były obwódką, palił je bowiem ogień spiritusowy, a po twarzy bolem skurczonej, rzęsisty spływał strumień łez, siłą kolońskiej wody wywołany.

Kilkakrotne niby to przytłumione westchnienie zbudziło zadumaną Julią. Spojrzała na pana Felixa, a widok płaczącego mężczyzny zakrwawił niewinne jej serce, i wycisnął łzę szczerego współczucia. Ona przebaczyła mu w tej chwili, i podała sama rękę.

— Panie Felixie! pan płaczesz.

— Płaczę Julio! płaczę łzy gorzkie, bo milczenie twoje nie zostawiło mi tej nawet pociechy, że chociaż obojętna już dla mnie, wierzysz przynajmniej słowom moim. I dalej dławił się czuły Felunio.

— Ale ja panu wierzę, szeptała dziewczyna, ja ci wierzę Felixie, dodała jeszcze ciszej.

— Wierzysz! litujesz się, ale nienawidzisz!

— Nienawidzić? nie, o nie!

— Julio! aniele! czy mogę wierzyć! powtórz o powtórz! I chwycił ją za rękę, i ściskał ją, i całował, do ócz, do serca, do czoła przykładał, a szeptał nieustannie: powtórz i powtórz!

— I dlaczegoż mam taić? tak jest, ja cię... Reszty niedokończyła, ale pan Felix się dorozumiał, i z bohaterskiem poświęceniem się brzdęknął na oba kolana, niezważając na ostry, żwirowy piasek.

— Dzięki ci aniele! dzięki! ten wieczór, ta chwila stokrotnie wynadgrodziły mi owe noce długie, bezsennie w męczarniach strawione. Popatrz na mnie, a przekonanie żeś mnie uszczęśliwiła, niech ci będzie nadgrodą.

Jakoż w tej chwili twarz pana Felixa jaśniała prawdziwą radością, wzbudzoną przez zwycięstwo odniesione kosztem zbyt tanim, bo kosztem kilku łez, kolońską wodą sfabrykowanych.

— Droga Julio! przebacz memu wzruszeniu. Ja nie wiem co się w tej chwili dzieje ze mną, ale ja nie mogę dłużej zostawać w niepewności, ja biegnę u nóg matki twojej błagać o przebaczenie, i o przyspieszenie mego szczęścia.

— Nie! nie rób tego! zostaw mi czasu; ja sama przygotuję matkę... ja sama za dni kilkanaście.

— Czekać i zawsze czekać, kiedy mnie pali i w sercu, i w głowie. W duszy zaś pomyślał sobie: W to mi graj, ja właśnie takiej zwłoki potrzebuję, aby się dowiedzieć co tam Szpakowski i Kruczkiewicz zrobili tymczasem z Emilią.

— Felixie! nie wymagaj.... ja cię o to proszę, wyrzekła dziewczyna, rzucając na niego spojrzenie cudowne uczuciem i prawdą, i wyciągnęła ku niemu rękę.

— Każesz Julio! a ja ci będę posłusznym.

— Ja nie chcę byś długo cierpiał, mój drogi. Za dni dziesięć będzie bal. Na tym balu obiecuję ci dać odpowiedź stanowczą.... a może i pomyślną, dodała znacznie ciszej.

Felix chwycił za obie rączki Julii, i chciał potokiem poetycznych słów opiewać wdzięczność swoją, gdy nagle padł pomiędzy nich jakiś cień długi. Był to cień stojącego za nim sążnistego lokaja, który w tej właśnie chwili zdejmował kaszkiet i w rękaw chował zapaloną fajkę.

— Co tu robisz?

— Ja wyszedłem Jaśnie...

— Poromansować zapewne! co za poeta, djabli cię tu przynieśli.

— Pan Szpakowski kazał szukać Jaśnie pana.

— Osieł jesteś! idź precz! krząknął rozgniewany. I miał racją gniewać się, bo przyznajcie sami moi państwo, czy może co więcej oburzyć kochającego, jak raptowne przeszkodzenie w samym *akcie* naszczytniejszego uczucia.

Kiedy się odwrócił, spostrzegł zwolna oddalającą się Julią. Pobiegł szybko, ofiarował jej ramię, i pomału, nieznacznie zbliżył się główną aleą do przechadzającego się towarzystwa. Po półgodzinnej przechadzce odprowadził pan Felix pannę Julią do pomieszkania, nie bez ponowienia przysiąg, wyrazów czułych, spojrzeń ognistych, i gorących ręki uścisków.

A gdy sam został, odkrył głowę, nie aby słać dzięki ku niebu, ale aby się ochłodzić nieco, pot zetrzeć z czoła, bo ta cała nienaturalna rola zmęczyła go okropnie. Sforsował się nieborak deklamacjami, nie z serca czerpanemi, ale z głowy, z pamięci przeczytanych, lub zasłyszanych frazesów. To też stanąwszy na ulicy, wolniej odetchnął, otrząsł się z romansowych myśli, i została mu tylko w głowie jedna szczera i realna radość: złapania panny Julii z 30.000, jeśliby mu przypadkiem panna Emilia z 50.000 wyśliznąć się miała, i został ból w oczach kolońskim spiritusem spieczonych.

— O czemuż nie żyjemy w Turcyi! pomyślał w tej chwili mimowolnie. On wzdychał nie za wielożeństwem, ale za wieloposagowością.

Nagle rzucił się pan Felix w stronę z kąd dolatywały go z domu oświetlonego głosy muzyki arfinistek, i jak kula działowa wpadł do kawiarni. Na wstępie zaraz chwycił za szyję modrooką Terenię, i szeptał jej coś do ucha. Zapewne o swojem szczęściu przyszłem. Zbliżył się do niego Szpakowski.

— Wesoły jesteś Felixie! Avez vous réussi?

— Znasz Cezara godło?

— Veni, vidi, vici!...... Victoria!...... wrzasnął Szpakowski.

— Cicho! ja nie chcę by świat cały wiedział o tem przed czasem.

— Dobrze już dobrze! Ale to podobno dziś twoje imieniny, czy urodziny, rodziny nadziei i przyszłości. Czy fundujesz?

— Zgoda!

— Panowie, mamy solenizanta!

— Kto? gdzie? ozwały się różne głosy.

— Pan Felix!

— Pan Felix! winszujemy, winszujemy.

— Dziękuję, dziękuję. Tereniu dwanaście szklanek ponczu!. I śród śmiechów, szumnych życzeń, brzęku szklanek i uścisków Tereni zakończył się dla pana Felixa wieczór zaczęty tak idealnie.

Przy rozstaniu się zapytał Felix Szpakowskiego:

— A kiedyż pojedziesz do Lwowa, aby dowiedzieć się co tam zrobił Kruczkiewicz z głuchą mamunią, bo co do Julii, odemnie już teraz zależy skończyć z nią.

— Ależ bo Emilia o 20.000 więcej warta!

— Dlatego też właśnie radbym wiedzieć, czego mam się trzymać.

— Jutro pojadę w tym celu umyślnie do Lwowa.

(C. d. n.)

W sprawie tygodnika warszawskiego.

Do redakcyi Nowin.

Byłem tego przekonania, że każdemu dziennikowi idzie głównie o prawdę i oświecenie czytelników, że z wdzięcznością przyjmie udowodnione sprostowanie popełnionych w nim pomyłek, że dogodniej i przyzwoiciej dla powagi Dziennika być może, samemu ogłosić poprawy, aniżeli chcieć czekać, ażeby inne dzienniki o jego błędach rozprawiały.

W tej myśli pisząc o tygodniku warszawskim umieszczanym co czwartek w Czasie, dzienniku krakowskim, udałem się z mojemi uwagami do redakcyi Czasu, którego kolumny dosyć często moją zasilałem pracą, ile mnie się zdaje użyteczną, bo do potrzeb kraju zastosowaną, często mozolną, a zawsze bezinteresowną. Ponieważ artykuł mój nie został przyjęty, a sprostowanie błędów należało się koniecznie czytelnikom Czasu, artykuł wspomniony przesłałem do dwóch dzienników, jednego warszawskiego, drugiego lwowskiego, z przydaniem listu tłumaczącego, dla czego z poprawami omyłek popełnionych w Czasie do obcych udaję się dzienników.

To com napisał wywołało ogromną burzę. Czas którego postępowanie w tej rzeczy usprawiedliwić się starałem, groźnie przeciw mnie wystąpił. Wziąwszy za zasadę ataku słowa których nie powiedziałem, wyprowadził z nich niewłaściwe wnioski; a cały swój artykuł zakończył nie bardzo przyzwoitem wyrażeniem. Autor tygodnika warszawskiego ze swojej strony, dał mi dosadną jednę, drugą i trzecią naukę.

Zdawało mi się, że wypada usprawiedliwić się przed czytelnikami. Przesłałem do Czasu odpowiedzi na jego zarzuty, a potem na artykuły tygodnika warszawskiego przeciw mnie wymierzone. Pierwsza umieszczoną w Czasie niebyła a druga, którą wręczyć się starałem za pośrednictwem powszechnie poważanego pisarza, bez czytania odrzuconą została. W tak trudnem położeniu, cóż mi innego pozostaje, jak powtórnie prosić szanowne redakcje, które dawniejsze moje pismo o tygodniku warszawskim przyjęły, ażeby raczyły ogłosić i obecne tłumaczenie się moje dla „Czasu" przygotowane. Może czytelnicy znajdą w nim powtórzenie tych samych faktów: lecz jako sędziowie wydać mający wyrok w drodze apelacji, mają potrzebę wysłuchać całego wywodu sprawy. Dla ich jednak dogodności, starałem się wszystko w najściślejszą treść zabrać. Niech raczą osądzić po czyjej stronie prawda i czy uliczne obelgi rzucone na osobę z imienia i nazwiska znaną, zgodne są z powagą pisma publicznego.

Pisałem w Krakowie dnia 19. lipca 1855.

X. Adam Jakubowski.

Sprostowanie faktów i odpowiedź na zarzuty zrobione mi w numerach 127, 132 i 138 Czasu.

Długom myślał, czy mam odpowiedzieć na wywody naukowe i obelgi przeciw mnie wymierzone przez autora tygodnika warszawskiego, umieszczone w Nr. 138 Czasu z d. 21. czerwca r. b. Zdawało mi się, że na podobne pismo mnie samemu nie godzi się odpisywać i że w rzeczach dobrze znanych, kto inny w obronie prawdy i przyzwoitości publicznej wystąpi. Gdy jednak widzę, że nikt nie wyświeca rzeczy, ośmielam się wznieść głos w własnej obronie.

Dnia 18. maja r. b. napisałem kilka uwag nad błędami historyczno-literackiemi, popełnionemi przez tygodnik warszawski i oddałem je do umieszczenia w *Czasie* jednemu z członków redakcyi. Ponieważ artykuł mój został mi zwrócony, przesłałem go do dwóch dzienników, jednego warszawskiego, drugiego lwowskiego, dla objaśnienia czytelników *Czasu* tak w Królestwie polskiem, jak i w Galicyi mieszkających. Na list mój poprzedzający rzeczony artykuł, odpowiedziała szan. redakcja *Czasu* w przypisku zamieszczonym w N. 132 z d. 14. czerwca; a na cały artykuł z listem, odpisał autor tygodnika, naprzód w numerach 127 i 132 Czasu zapowiadając, iż podjazdowym sposobem, jak mówi «według systematu medycznego, co godzina po łyżeczce aż do skutku, zrobione mu zarzuty odpierać będzie"; a następnie cały prawie 24 tygodnik umieszczony w Nrze 138 Czasu zapełnił rozbiorem uwag moich.

Na przypisek szan. redakcji Czasu odpowiedziałem zaraz d. 15. czerwca; lecz odpowiedź moja wykazująca niewłaściwość zarzutów redakcji, ogłoszoną nie była. Nie odesłano mi nawet tej odpowiedzi i nie zawiadomiono mnie ani publicznie ani prywatnie, dla czego odpowiedź ta zamieszczoną w Czasie być nie mogła. Nie pojmuję, jak można publicznie potępiać ludzi i odejmować im sposobność własnej obrony. W naszej prowincyi większa część czytelników Czasu nie ma sposobności czytać innych dzienników polskich, jakiż jest sposób usprawiedliwienia się przed tymi, którzy czytali zarzuty? W liście prywatnym, do odpowiedzi załączonym, oświadczyłem najwyraźniej, że gotów jestem złagodzić i zmienić wyrażenia, które redakcją za swoją obrazę uważaćby mogła, że jedynie chciałem się usprawiedliwić przed czytającą publicznością, lecz wszystko pozostało bez odpisu i porozumienia się zemną.

W przekonaniu że mam prawo do własnej obrony, i że oddałem we właściwe ręce moje pismo, nie zachowałem odpisu odpowiedzi na przypisek redakcyi; ile jednak przypominam sobie, zwracałem w niej uwagę na wyrażenie się redakcyi: «Ksiądz A. Jakubowski w artykule swoim domyślać się każe a nawet wyraźnie wypowiada «że redakcja *Czasu* sprostowania historycznego o ś. p. Konarskim i o zgromadzeniu OO. Jezuitów zamieścić nie chciała» nie wiemy już z jakich powodów." W tem przytoczeniu, wyrazy oznaczone cudzosłowem nie są i niemogą być moje: Naprzód dla tego, że nie przydawałbym do nazwiska Konarskiego ś. p. bo nie masz we zwyczaju u nas tem religijnem wspomnieniem oznaczać ludzi należących do histo-

ryi i literatury; *Powtóre*, żem najwyraźniej w liście pisanem do Nowin wymienił powody dla których radakcja Czasu uwag moich ogłosić nie raczyła; *Trzecie*, że moje sprostowania nie do samego tylko odnosiły się Konarskiego. Dalej mówi przypisek, że redakcja *Czasu* w przytoczonym Numerze tygodnika, żadnej obrazy dla Konarskiego, ani dla Jezuitów nieupatrywała. Jakto, więc wystawienie podstępnego postępowania Konarskiego względem Jezuitów i szkodliwego wpływu Jezuitów na wychowanie młodzieży, nie jest poniżającą obrazą? Właściwie nie szło mi o obrazę Konarskiego i Jezuitów ale o prawdę. Zresztą czy tylko o Konarskim i Jezuitach w moim artykule była mowa?

Następnie przypisek wyjaśniając rzecz względem nieprzyjęcia artykułu, zdaje się upatrywać w mojem piśmie do Nowin pewną nieprawdę, utrzymując, że artykuł o którym mowa, nie odesłany, ale oddany mi został. Nie chcąc wchodzić w drobiazgowe szczegóły, nieopowiedziałem całej historii nieprzyjęcia mojego pisma przez redakcją Czasu, lecz mi się zdaje, że to na jedno wychodzi, czy odebrać samemu przygotowany do odesłania z napisanym i zapieczętowanym listem artykuł, czy mieć go sobie odesłanym. Żądanie redakcyi ażebym cofnął polemiczną część, jak ją nazywa przypisek mojego artykułu, było rzeczą niepodobną: wytłumaczyłem się z powodów robiącemu mi uwagi i te powody uznane wówczas były za słuszne (później mniej słusznemi się wydały); kazano mi więc czekać na przyjście do zdrowia redaktora części literackiej *Czasu*. Tydzień cały straciwszy na porozumiewaniach się z szan. redakcją względem umieszczenia uwag moich nad tygodnikiem, dłużej czekać nie mogłem. Artykuł mój później ogłoszony, wydawaćby się mógł wyciągiem z cudzego pisma. A zresztą wśród porozumiewań się, nabyłem przekonania że pismo moje po najdłuższem czekaniu, umieszczone w Czasie nie będzie.

Na przyjacielskie z mojej strony wyrażenie, szan. redakcja Czasu w przypisku odwołała się do znanego o przyjaciołach i nieprzyjaciołach przysłowia, nie wymieniając tego przysłowia. Niepamiętam, a może i nieznam wszystkich tego rodzaju przysłów; ale te które mi na pamięć przychodzą, bardzo mnie zasmuciły. Jedno jest zakończeniem dowcipnej bajeczki Fr. Morawskiego:

Kiedy kto w przyjaźń nierozważną wchodzi,
Nudy i boleść tylko sobie kupi,
Mądry przeciwnik często mniej zaszkodzi,
Niźli przyjaciel serdeczny a *głupi*.

Drugie powiada, że lepszy nieprzyjaciel otwarty, niż przyjaciel zdradliwy. Zdaje się że do jednego z tych przysłów odwołuje się przypisek. Nie mogę się nadziwić delikatności szan. redakcji, że chcąc mi powiedzieć grubą obelgę, użyła do tego przysłowia i to jeszcze kazała się go domyśleć. Lecz obelga, jakkolwiek delikatnie powiedziana, zawsze jest obelgą. Jeżeli ja się mylę w znalezieniu przysłowia, wina w tem szan. redakcyi Czasu, że go sama nie wymieniła i domysłowi pozostawiła pole. W liście moim zachowałem największą delikatność względem Szan. Redakcyi Czasu, starałem się ją nawet wytłumaczyć, nie spodziewałem się więc grubych zarzutów i grubszych jeszcze zastosowań. Zbyt drażliwym wydawał się szan. redakcyi jakiś przycinek w mojem piśmie, odnoszący się do bezimiennego pisarza tygodnika, i dla tego go ogłosić nie chciała, a bez namysłu i sporu umieściła haniebną obelgę, rzuconą na osobę znaną z imienia i nazwiska, którą jeżeli nie inne względy, to przynajmniej charakter jaki nosi na sobie, od publicznych obelg, w dzienniku występującym w obronie religii, zasłaniać był powinien. Na teraz niech będzie dosyć co do redakcyi Czasu.

Przejdźmy do tygodnika warszawskiego. Nie mogę się naprzód z szan. autorem tygodnika zgodzić, ażeby opowiadanie dowcipne i ujmujące gorszących anegdot, było nauką moralności i przyzwoitości. Być może że on ma inne wyobrażenia, spierać się oto nie będę; bo by to naprowadziło na ogromną etyczną rozprawę, lecz odpowiedzieć wypada na zarzuty osobiste i historyczne.

Po podpisaniu mojego imienia i nazwiska, po wymienieniu go po kilkakroć tak przez redakcją Czasu, jak i samego autora tygodnika w poprzednich numerach Czasu, w N. 138. tygodnik uważać mnie raczy za bezimiennego i pod tym względem „szanuje równość prawa!“ Nie rozumiem tej loiki. Gdyby autor tygodnika położył był swoje starannie ukrywane nazwisko, zgoda, byłaby równość oręża, równość prawa; ale tak jak jest, on mierzy w piersi na otwartem polu stojącego człowieka, gdy jego zasłoniętego tem wszystkiem czem sztuka zasłonić może, dosięgnąć osobiście nie podobna. Jestże to równa broń, równe prawo?

(C. d. n.)

Rozmaitość.

*** Z nad ujścia Wisłoki.** (Dokończenie.) O urodzaju oziminy już wam donosiłem, i to nie bardzo korzystnie; niestety i o wiosennym zasiewie wiele dobrego powiedzieć nie można. Owsy i grochy są piękne, ale za to jęczmienia trudno pięknego gdzie znaleść; bób wyrosł w piękną łodygę, ale tak jak mówią nasi chłopi, przyszła *chamera* z błyskawicami i kwiat opaliła. Kartofle pięknie rosną ale już widziałem w niektórych miejscach nać, zmieniającą kolor. Na sianokosy sprzyjała pogoda, ale cóż kiedy siano nie wszędzie dotąd zebrano, bo lubo o robotnika do motyki i grabi tego roku jakoś łatwiej, kosarzy trudno dostać. Mieliśmy bowiem arystokracją rodową, rozumową i pieniężną; dziś przybyła arystokracja próżniactwa między chłopami, bo kto tylko ma kawałek gruntu ten na zarobek nie pójdzie. A takich gospodarzy się mnóstwo namnożyło, bo każda rola czy kmieca czy zagrodnicza podzielona na kilka kawałków. Najemnikiem jest u nas proletariat, składający się z niewielkiej liczby komorników, których żydzi i gospodarze najmują, tak że dla dworów zawsze rąk do pracy braknie. Próżniactwo to coraz bardziej się zakorzenia i trzebaby znowu jakiej *chamery* żeby ten

stan zmieniła; inaczej gospodarstwa większe upadać muszą, na zagranicznych robotników nie każdy zdobyć się potrafi bo sprowadzenie takiego do nas towaru wymaga kapitału, który nie każdy posiada. Żniwa się już zbliżają, ale poczciwi sąsiedzi nie czekają na nie i gdzie tylko mogą, obrzynają kłoski z żyta na pół dojrzałego. Dopilnować tego nikt nie jest wstanie, bo do pilnowania grochu trudno uprosić dziada, a gdzie tu sposób kilka rodzai zboża w kilku miejscach zasianego dopilnować. Zresztą przy znanej poczciwości naszych doglądaczy, oni by sami największą szkodę robili. Trzeba zatem cierpliwie patrzyć i oddać to w ręce opatrzności, póki naszych sąsiadów nie natchnie jakiem, dotąd im nieznanem uczuciem szanowania cudzej własności.

Temi dniami JW. biskup tarnowski objeżdżał dekanat Mielecki; przyjmowano go wszędzie z wielką uroczystością; po miasteczkach urządzono bramy tryumfalne, cechy wychodziły z chorągwiami, a chłopi na koniach w świątecznych sukniach z chorągiewkami odprowadzały go z jednej do drugiej parafii. Piękny też to był widok, bo też to piękny ten nasz lud polski, ale jakże to smutno pomyśleć że ten lud taki hoży, taki wesoły i dziarski ma tyle wad w sobie ukrytych!

Jego Mość biskup swoją zajmującą grzecznością i uprzejmością, tudzież swoją jędrną i płynną wymową zjednał sobie wszystkich co go słyszeli. W Mielcu raczył on sam celebrować, a już dawno w tym kościele tak świetne nabożeństwo się nie odbywało. Wizyta ta zapewnie wiele dobrego przyniesie, szczególnie w urządzeniu szkółek wiejskich, które mimo szumnych zapowiedzeń i rozlicznych pochwał dotąd najwięcej pustką stoją, a bodaj bym był złym wieszczem, ograniczą się może na tem, że p. profesor swoje własne dzieci uczyć będzie! Chłop nasz bowiem nie widzi potrzeby wyższej nauki, naukę języków uważa zbyteczną, bo wiedząc ze wszyscy nie mogą być oficerami, księżami lud urzędnikami, czuje że mu wyższa nauka jaką są zawsze języki, nie zupełnie potrzebna. Dla tego też i ja lubo nie należę do owych konserwatystów, co to twierdzą *„że chłop cham nic umieć nie powinien,“* ośmielam się twierdzić że zakładanie na wsi szkółek triwialnych u nas nie jest praktyczne. Niechaj nasze chłopy umieją czytać i pisać po polsku, niech umieją podrzędne rachunki, niech im nauka Ewangelii i pisma świętego wykładaną będzie a dosyć będą mieli oświaty, bo lud i stworzony i przeznaczony do pracy na tem poprzestać powinien. Zresztą jeśli między dziećmi na wsi znajdzie się jakiś nadzwyczajny talent, jeśli będzie miał środki dalszego wychowania, to taki choć we wsi wyższej szkółki nie będzie, znajdzie ją w pobliższem miasteczku i nauczywszy się w domu po polsku, pójdzie dalej szukać wyższej oświaty.

* JEx. jenerał jazdy hr. Schlick został mianowany rzeczywistym dowódzcą armi czwartej w Galicyi i wyjechał z kilkutygodniowym urlopem do Wiednia.

* Cesarzewicz Jego Mość Karol Ludwik wyjeżdza dnia 30. b. m. w obwody wschodnie Galicyi i na Bukowinę i dopiero około połowy sierpnia wraca do Lwowa, zkąd po kilkudniowym pobycie jak słyszymy wyjechać ma do Wiednia.

* Od wybuchnięcia cholery do 22 lipca zachorowało we Lwowie osób 2046 umarło 1035. Dnia 21 lipca zachorowało 83 osób, umarło 25. Choroba ta dotyka najwięcej a nawat wyłącznie prawie klassy uboższe.

Przyjechali od dnia 18. do 19. Lipca do Lwowa.

PP. Ozurewicz Tomasz z Rzeszowa. Mier Henryk hr. z Buska. Ubysz Oktaw z Ostobusza. Terlecki Antoni z Sambora.

PP. Zakotyński Franciszek z Tarnopola. Januszewski Stanisław z Ubienia.

PP. Papara Henryk z Zubowych mostów. Krasicki Edward hr. z Brodów, Siemiginowski Bronisław z Torska. Czerkawski Euzabiusz z Przemyśla. Olchowski Jan z Winiatycz. Koch Konstanty z Dąbrowicy.

Wyjechali od dnia 18. do 19. Lipca ze Lwowa.

PP. Golejewski Antoni hr. do Stryja, Czajkowski Robert do Liska. Bartmański Józef do Rewy. Krzeczunowicz Ignacy do Jaryczowa. Łoś Tadeusz hr. do Narola. Lipiński Felix do Łuczyc. Niezabitowski Napoleon do Nakła. Golejewski Tadeusz hr. do Sapochowa.

P. Golejewski Kornel hr. do Stanisławowa.

PP. Czerkawski Józef do Mereszczowa. Smarzewski Mikołaj do Artasowa. Mensdorf hr. do Krakowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 23. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$122\frac{3}{8}$	Pożyczka 5%	$78\frac{3}{16}$ —
Hamburg za 100 tal. banco	$88\frac{7}{8}$	Akcye banku	983
Londyn za 1 funt szterl.,	11 50	Kolej północna	—
Medyolan za 300 lirów	$121\frac{1}{2}$	Obl. ind.	70
Paryż za 300 franków .	$142\frac{1}{4}$	Nowa pożyczka z loterya	$100\frac{5}{8}$
Agio duk. ces. . . .	$26\frac{5}{8}$	Pożyczka narodowa . .	$82\frac{1}{0}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	38	złr.	5	kr	42
Dukat cesarski	«	5	„	42	„	5	„	44
Półimperyał zł. rosyjski	«	9	«	44	„	9	„	48
Rubel srebrny rosyjski	„	1	«	52	«	1	„	54
Talar pruski	„	1	«	48	„	1	«	50
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	„	1	«	22	„	1	„	23
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	93	«	20		93	„	40
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		69	„	20	„	60	«	50
5 proc. pożyczka narodowa		83	„	—	„	84	„	—

Lwów, 23. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po — złr. — kr. do 37 złr. 30 kr. — Żyta po 16 złr. 40 kr. do 25 złr. — kr. Jeczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 7 złr. 30 kr. do 10 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 19 złr. 30 kr. do 20 złr. 30 kr. — Ziemniaków po — złr. — do — złr. — kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 42 złr 30 kr. Sosnowego po 40 złr. — kr. do 40 złr. w.w. Cetnar siana 3 złr. — kr. do 3 złr. 55 kr. Centnar słomy 2 zł. 30 kr. do 3 złr. $7\frac{1}{2}$ kr. w. w. Garniec 30 topniowej okowity bez opłaty 4 Złr. — kr. do 4 złr. 25 kr. w. w.

Do Dzisiejszego numeru dołączone jest ogłoszenie przedpłaty na Bibliotekę polską wychodzącą w Sanoku.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**